

„Inwazja nowotworów”

Niebrzydkie marcowe popołudnie. Ogromny biały budynek Sanatorium Praz-Coutant, położony w kotlinie nieopodal Lyonu, miejsce wytchnienia, a zarazem mój ostatni przystanek, nim zupełnie przepadnę. Niemoc przemogła wszelkie inne uczucia, pozostawiając pustkę nie do zapełnienia. Chciałam żyć, zaczęłam się bać o kruchą egzystencję, ale z mijającym czasem czuję już tylko bezsilność. Przyzwyczaiałam się do przeszywającego bólu, ale czasem jest tak mocny, że trudno go znieść.

Ostatnio zastanawiam się, od czego zależy pora ludzkiego odejścia. Sukcesy, dobroć, zbyt duży przyrost naturalny, wiek, przydatność, pragmatyczność, wyznanie, inteligencja, obycie, zawód, a może spełnienie? Mam w końcu tylko czterdzieści siedem lat, co chyba nie jest wyjątkowym osiągnięciem. Myślę, że mogłabym się jeszcze jakoś przydać. Powołałabym się na sprawiedliwość, ale życie nauczyło mnie nie przykładać do niej wielkich nadziei. Jestem spokojna, bo wiem, że wszystko się skończy, bo taka jest kolej rzeczy. Nie chce mi się tylko wierzyć, że to tak niebawem.

Od zawsze wiedziałam, że ludzkie ciało jest tak ulotne, ale jeszcze mocniej uświadomiły mnie w tym ostatnie lata, kiedy razem z operacją straciłam niemałą część siebie. Niedawno ku mojemu przygnębieniu pożegnałam się z samodzielnością ruchu. Trudno uwierzyć, że to dalej moje ciało, a nie pechowa pomyłka. Oswoiłam się już co prawda z myślą, że lepiej na pewno nie będzie, ale gdy budzę się obolała, dopada mnie niemoc przemieszana ze złością.

Sięgam po w połowie pełną szklankę wody, nawilżam spierzchnięte usta i biorę łapczywy łyk. Rozglądam się po czystym pokoju o ścianach w kolorze ecru. Trochę kręci mi się w głowie i mam mroczki przed oczyma. Zbyt gwałtowny ruch. Akurat wchodzi Cecile z obfitym obiadem.

- Jak się dzisiaj czujesz? – pyta ze zdecydowanie niefrancuskim akcentem, uśmiechając się pogodnie.

- Och, nie najgorzej, dziękuję.

Gawędzimy jeszcze chwilę o zupełnie błałych sprawach, po czym pielęgniarka zamyka drzwi. Odkładam talerz na podłogę i zauważam, że skóra na dłoniach stała się sztywna i woskowa. Nie jestem głodna, Zjem później.

Podczas pracy miałam z tyłu głowy, że moje dzieła tworzą mój pomnik. Niezmiernie pocieszającym wydaje się zatem to, że pozostawię po sobie coś więcej, i że śmierć zakończy moje życie, ale nie życie rzeźb, których jestem nieodłączną częścią, bo tworzyłam je własnymi palcami. Nieco męczą mnie te upojne refleksje. Poprawiam poduszkę i kołdrę. Zaspiałam w mgnieniu oka, sen jest pośrednikiem między czuciem a nieczuciem.

Straciłam rachubę czasu, nie wiem, która godzina, ale nie spieszy mi się sprawdzać. Sięgam po chłodną herbatę, oszukując samą siebie, że paznokcie wcale nie przybrały lekko fioletowej barwy. Staram się odganiać momentalnie nadchodzące wspomnienia niezliczonych śmierci, których byłam cichym świadkiem. Bezskutecznie. Sierpień, 1944. Jeden z ostatnich transportów do Auschwitz. Tych miesięcy niepodobna zapomnieć, cienie ludzi błagające o jedzenie, którego się nie miało. Śmierć niezależnie od wszystkiego. Śmierć na każdym rogu dla każdego. Nie zwróciłam uwagi, że na myśl o okrutnych scenach pojawiły się w moich oczach łzy. Próbuję się uspokoić. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem...

Drzwi otwierają się za ostrożnym ruchem Cecile, która najpierw zagląda do pokoju, a potem wchodzi pewnym krokiem i pyta:

- Smakowało?

- Jeszcze nie mam ochoty, ale dobrze się zapowiada – odpowiadam beztroskim głosem, którego fałsz bez trudu wyłapuje pielęgniarka, spoglądając wyrozumiałym spojrzeniem.

Podchodzi bliżej, lekko marszczy czoło.

- Twoje spojrzenie wydaje się szkliste. Na pewno dobrze się czujesz?

Podchodzi bliżej, lekko marszczy czoło.

- Tak, Cecile, normalnie.

Normalnie, czyli źle.

- Może jednak mogę jakoś pomóc? – pyta z troską.

- Jeśli mogę prosić o kubek herbaty. Dziękuję.

Kiwa głową, chwilę stoi i przygląda mi się, szerzej otwiera oczy i jakby wytrącona z zadumy odchodzi. Ochryple wzdycham z ulgą.

Przez moment, którego długości nie umiem określić, czuję, że widzi. Obserwuję, co się dzieje, jakbym znajdowała się nad swoim ledwo ruchomym ciałem. Powracam jednak do niego i nie utożsamiam się z nim. Tracę przytomność.

Gdy z trudem otwieram oczy, stoi nade mną kilka osób o misternie rozmazanych, wirujących wręcz twarzach. Ruszają ustami ze zrezygnowanymi, smutnymi minami. Pozdrawiam ich uśmiechem, na mnie już czas. Tertium non datur. Trudno złapać mi dech. Chwytam powietrze ustami. Nie mam już siły.

Promienne ciało Aliny straciło blask, zastygło, zmałało i stało się chłodne. Na plecach pojawiły się ciemne wybroczyny w kolorze czerwonego marmuru.

Hela Kaźmierowska

monolog inspirowany historią Aliny Szapocznikow